№ 27.

Warszawa.

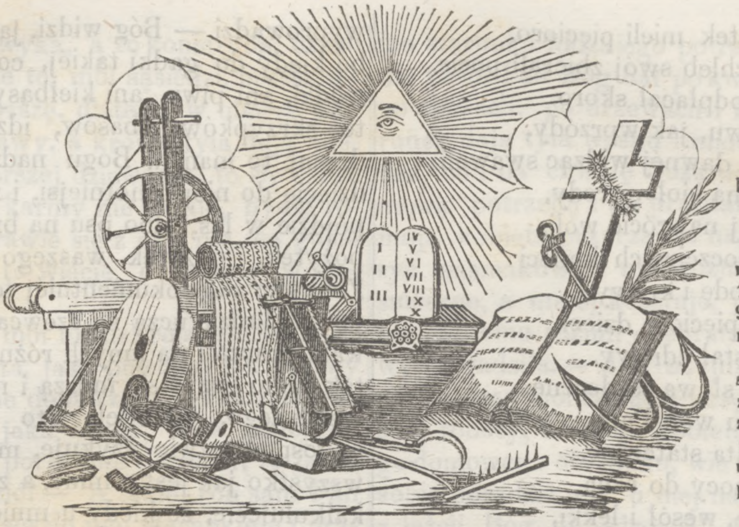
Dnia 24 Czerwca

(6 Lipca)

1856.

Niedziela

8 PO ŚWIĄT-
KACH.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże mocny! który jesteś początkiem wszelkiego dobra, wszczep w serca nasze miłość imienia Twego, a daj nam pomnażać się w prawdziwem nabożeństwie, iżby i to, co jest w nas dobrego pomnożone było, i tego, co jest pomnożone, abyśmy nie utracili. (Modlitwa kościelna na niedzielę 8mą po Świątkach).

Tomek sierota.

Ciężką Pan z niebios przepuścił plagę:
Mór straszny począł pustoszyć ziemię,
Znać, że już łaski przebrało miarę,
Tonące w grzechach człowiecze plemię.
Wszędy żałosny jęk się rozchodzi,
W pokorze ciężkie wyznając winy,
Slą modły z płaczem starzy i młodzi,
Maryi Dziewicy prosząc przyczyny.
I w biedną chatę pomór straszliwy
Naszedł powietrzem z blizkiego miasta,
Już i gospodarz leży nieżywy,
Daléj przy dziatkach kona niewiasta;
Naraz serdeczne zacichły bole,
A pośród chaty z rodziny całej,
Zostało tylko jedno pacholę,
Dziewięcioletni chłopczyna mały.
I wyszedł Tomek, stanął u płota
Stęsknionym wzrokiem powiódł w około,
Ukląkł przy chacie ojców, sierota,
I ze łzą chyli ku ziemi czoło.
Lecz myśli sobie: wszakże Bóg z nieba
Żywi robaczka, zwierza i ptaka,
Toć nie poskąpi okruchy chleba
Dla mnie głodnego również biedaka.
I powstał żwawo, — spojrzał w obłoki,
Sukmanką łzawe ociera oczy,
A jakoś raźniéj w świat on szeroki
Sród łanów zboża, drożyną kroczy.
I tak bywało, w ciepłe dni lata
Nockę pod drzewem przespawszy Tomek,
Z giętkiéj wikliny koszyki splata,
A uzbierawszy grzybów, poziomek,
Jak rychło dzionek zaświta Boży,
Po odmówieniu rannych pacierzy,
Swobodny, wesół, jak ptaszę hoży,
Na sprzedaż z niemi ku miastu bieży.
Lecz mroźny Grudzień nadszedł po Maju,
Zniknęła chłopca nadzieja próżna,
W zamarzłym grubo aż po brzeg gaju
Nic już uzbierać nie było można.
Biedny więc Tomek zziębły, zgłodniały,
Widząc jak z chaty płomień wybłyska,
Zapukał do niéj, płacząc nieśmiały,
I przyjęli go dobrzy ludziska.
Nie żałowali kątka sierocie,

Choć własnych dziatek mieli pięcioro,
Choć w krwawym chleb swój zbierali pocie,
Toż Bóg im łaską odpłacał skoro.
Ale w lat parę znowu, jak wprzódy,
Pan, grzesznych w dawnéj widząc swawoli,
Spuścił mór ciężki na sioła, grody,
Chcąc ich ku dobrej nawrócić woli.
I równo w chacie poczciwych kmieci
Mór pozabierał trzodę i krowy,
I wszystkie na raz pięcioro dzieci,
Tylko sierota pozostał zdrowy.
Toż je pocieszał w słowa serdeczne,
Budząc poddanie ku woli Pana,
A gdy zabiegli w lata stateczne,
Tomek pracując z nocy do rana,
Wdzięczen za łaskę, wesół i lekki,
Wspierał staruszków dłońmi młodemi;
Gdy zaś przymknęli martwe powieki,
Z płaczem w święconéj pogrzebł je ziemi,
I żył czas długi Tomek szczęśliwie;
Bo ufność w Pana nigdy nie zwiedzie,
I gdy kto pracą żyje poczciwie,
To choćby w ciężkiéj zostawał biedzie,
Chrystus go z groźnéj wydźwignie toni,
I zajaśnieje mu dola błoga,
Bo łza, którą człek z serca uroni,
Perłą się staje przed tronem Boga.

Pogadanki starego rolnika.

—

W niedzielę po południu we wsi Marusicach, do owego gospodarza Janka Goździaka, co to zaszli do niego Józef Gajda i Wojciech Bąbała o poratunek w turbacyi, o chleb, przyszli i ci sami gospodarze, jak to przyrzekli i z niemi kilku innych, bo ciekawi byli usłyszeć, jak to należy w gospodarstwie szykować się z robotami do słonka, do deszczu, śniegu i tam innych rzeczy.— Jak Janek ich ujrzał, i ci mu powiedzieli, po jakim przyszli interesie, bardzo się rozradował, a pozdrowiwszy ich uczciwie Boskiem słowem jak wypada, i ugłaskawszy sobie czuprynę, rzekł do ludowiny:

—„Bóg wam zapłać moi sąsiedzi, żeście nie zabaczyli o przyjściu dziś do mnie, i jeszcze pzyprowadzili z sobą kilku innych sąsiadów, żeby posłuchać, co wam stary Janek za gadkę wyprowadzi.— Bóg widzi, jak się cieszę z tego, bo kiedy do gadki takiéj, co w niéj nie ma ani wódki, ani piwa, ani kiełbasy lub kukiałki, ani też skrzypków i basów, idziecie ochotnie już dzisiaj, to mam w Bogu nadzieję, że coraz będziecie do niéj ochotniejsi, i że gadka moja nie pójdzie w las, albo psu na budę, ino na wasz pożytek, i pożytek waszego gospodarstwa.— Żebyście zaś dokumentniéj to pomiarkowali, że jak się ludzie uczą na szewca, na stolarza, kowala, tracza i na innych różnych rzemieślników, tak samo uczyć się muszą i na gospodarza, i że wedle tego, jak wiela kto umie, tak mu się i w gospodarstwie szykuje, muszę wam pokazać wszystko jak jest u mnie, a z tego najlepiéj pokalkulujecie, że kiedy u mnie wszystko jest lepiéj, niż u was, to gadka moja warta posłuchu; bo jak w głowie, tak i w robocie, a kiedy u mnie w robocie jest dobrze, to i w głowie musi być nie ostatnio.— Chodźwa sąsiedzi.“

To rzekłszy Janek, wyruszył z izby, za nim wysypali się chłopiny, i oprowadzając ich po roli, około zboża po łąkach, po sadzie, oborze, i wszędzie po różnych dziurach, mówił w miarę tego, jak się do któréj rzeczy zbliżał, a było to jak mówiłem na parę tygodni przede żniwy.

—„Ot! moi sąsiedzi, widzicie moję pszeniczkę i żyto, patrzcie jakie gęste, jakie czyste, ani zdźbła chwastu nie dopatrzy prawie.— A widzicie jaka to słoma, nikiéj trzcina, kłoski nikiéj kiście kukurydzowe, a ziarna, to jak żołądź.— A to jęczmień, to owies, to groch, wszystko kieby las, aż się uśmiecha do człowieka, bo przy pomocy Bożéj jak się to wszystko zbierze z pola, to nie jeden korczyk wsypie się do beczułki.“

Chłopiska z wielką ciekawością przyglądali się temu, bo po prawdzie powiedziawszy, Bóg w polu Jankowi wszystko nikiéjby na dziwo zarodził, tak, że między stoma połankami prawie ślepy namacaniem poznałby, czyje zboże Jankowe, a czyje jego sąsiadów.

—„To moja łąka“—mówił daléj Janek—„siana pachniącego jak ruta dwa razy tyle zebrałem, co z was każdy, a teraz patrzcie, jaki śliczny puścił się potraw, jaki gęsty, że zdaleka sam wchodzi w oczy, jakby chciał gaworzyć o moim wedle siebie starunku i pracy.— Tu nad łąką mam kapustę, konopie, len, w górze ziemniaki, a jakie?— ho-ho-patrzcie.— Głowy kapuściane nikiej cebry,— len i konopie, jak młode choice i sośniaki, a ziemniaki, jak łby kocie.

To moi ludzie jest wyka, a to koniczyna, czego wy nie macie.—One to, moi sąsiedzi, prześliczną co rok dają mi paszę, dlatego w oborze mojéj bydło, nikiéj spławy, a krowy tyla dają mleka, że kobiecie i starszej dziewusze to się i doić przykrzy.— Że się karmy nie żałuje, bydlę robi tyla gnoju, że prawie się z nim nie ma gdzie podziewać, a gnój to wiecie, co znaczy w gospodarstwie.

—„To, widzicie moi ludzie! rola pod oziminę, patrzcie jaka czysta, jaka pulchna, jak calizny nikaj ani na piędź nie dopatrzysz.—Patrzcie, jak głęboko sprawna, jaka żyzna, to w takiéj roli jak się wszystko porządnie doprawi, to jakże nie ma się zarodzić?— A takiéj roli sam Pan Bóg nie daje, ino się do niéj starunkiem i pracą dochodzi.— Kiedy wziąłem gospodarstwo na siebie, rola moja była rychtyk taka, jak wasza.— Kamieni, perzu, chwaścisków różnych co nie miara, orka płytka, a zbożowina tak się po połankach chwiała, nikiéj mech na brodzie u młokosa, albo włosy na głowie u łysego.— Dziś bez mała w jednakiéj mierze wszystko u was zostało, a u mnie jakby moje pole kto przemienił, ni kamienia, ni perzu, ni chwastu, a orze się dwa razy głębiéj, jak dawniéj.— Tu widzicie wedle chałupy mam sad, a w nim przeróżne owoce, jabłka, gruszki, śliwki, że się jest czem cały rok obrządzać; tu znowu między drzewizną maliny, agrest, porzeczki, —tam daléj warzywo, marchew, brukiew, kalarepa, pietruszka, pory, cebula, mak, i też inne różności, a wszystko piękne i dorodne, że aż się dusza śmieje w człowieku.— W końcu sadu widzicie stoją ule ze pszczołami, co same pracują na człowieka, i prawie proszą się, żeby im miód odebrano.— Wczorajszego bowiem dnia, kiedy przyszedłem zobaczyć, co się z mojemi pracownicami dzieje, patrzę, a tu cały rój siedzi na wierzchu jednego ula, i brzęczy smutnie.— Patrzę, co takiego?— czyby w środku była jaka przeszkoda?— zaglądam tedy, aż tu cały ul zarobiony tak, że się w nim biedactwo już nie mogło pomieścić, i wylazło na ul ze smutnem brzęczeniem, nikiéjby prosiło człowieka, żeby mu miejsce na robotę zrobił.— Tak ja co robiący, miód do szatliczka, wyporządziłem wszystko jak wypada, a moje pszczoły jak nie zabrzęczą wesoło, jak nie ruszą do ula, jak nie pójdą w pola, to ino szumiało, co tak ochotnie leciały na robotę.— Pszczoły, moi ludzie! ino starunku ludzkiego potrzebują, bo pożywienie to im Pan Bóg dał po kwiatkach, po łąkach, po zbożach, po drzewach i lasach, i za ten starunek dają tyla wosku i miodu, że mam z nich dać co i na chwałę Bożą do kościoła, i na domową potrzebę i na przedaż; a jaki to z miodu moja kobieta przyrządza napitek, to się go dosyć nasmakować nie można, bo to i zdrowe i smaczne, a mniéj kosztuje, jak gorzałka, co już nie jednemu rozum odebrała, i na biedę i nędzę wyprowadziła.— Jak obejdziewa obory i chlewy, to was moi sąsiedzi uczęstuję miodem własnéj roboty, bo moja kobieta to jedna do takiego domowego obrządku, wie we wszystkiem, jak sobie poradzić, nic u niej na marność nie idzie, a jeżeli Bóg da zdrowia i życia, to wam opowiem o pielęgnacyi pszczół; bo i tu trzeba wiedzieć, jak co zrobić.—Wyszedłszy z sadu Janek, poprowadził wszystkich ku oborze, a pokazując na gnojowisko, rzekł:

—„To widzicie jest gnojownia, a jak w izbie póty ciepło nie będzie, dopóki się w piecu nie napali, bo z niego rozchodzi się ciepło po całéj izbie, tak i w gospodarstwie, dopóty dziać się dobrze nie będzie, dopóki tu na gnojowisku będzie źle i bez żadnego starunku.— Wy na to mało dajecie baczenia, bo jeszcze tego dokumentnie nie rozumiecie, ale ja, co wiem, że:

Bez gnoju rola kiep,
A przy gnoju daje chleb!

to naprzód pilnuję bydła, żeby było dobrze karmione, żeby miało dobrą podściołkę. a potem gnojowiska, żeby się na niem gnój nie palił, albo nie suszył, bo tak przy jedném, jak przy drugiem bez(przez) pół go ubywa, więc i zboża bez pół się ino zbiera.— Staram się więc moi sąsiedzi! żeby gnój na gnojowisku był w swojéj mierze, żeby zanadto nie przegnił, albo żeby nie był bardzo słomiasty, ino co prawie, i dlatego zasłoniłem go oborą od południa, żeby słonko bardzo nie paliło, a żeby znów nie miał z deszczu nadto wilgoci, i żeby woda nie nachodziła w niego z dachów, odsunąłem go od obory, i w środku gnojowiska zrobiłem nikiéjby studnią, żeby do niéj napływała gnojówka, którą potem od czasu do czasu rozlewam po całem gnojowisku, kiedy słonko bardzo pali, a co zostanie, to ją używam do rożnych rzeczy w gospodarstwie, o czem wam późniéj mówić będę, bo gnojówka to równa gnojowi, a nawet lepsza od niego; więc ją bardzo trzeba szanować.— Więc wi-

dzicie, że z gnojem to trzeba strasznie rozumnie poczynać, a u was, niech to nie będzie z niczyją obrazą, boć ja choć taką wyprowadzam gadkę, ale równie nie dlatego, żebym się miał nad was wywyższać, ino was chcę nauczyć tégo, co mnie chleb i dostatek daje; otóż u was moi ludzie! mało na gnojowiska dajecie baczenia, gnój bez pół u was się marnuje, i dlatego bez pół tyle, co ja z pola zbieracie.— Który u siebie z was zakłada gnojowisko, wygmyrze dół jak mu się uda, potem po wywózce grzebie, skrzybie, kaj ino czerni się ziemia, co przesiąkła gnojówką, i bez to dno takiego dołu robi nierówne, że ciężko przejsć bez utknięcia.— Potem wyrzucacie gnój z obory, to byle jak, tu się zrobi góra, tam dół, tu leży bardzo ugnieciony, tam mniéj, jak więc przyjdą deszcze, to w jednem miejscu lepiéj woda przesiąknie, w drugiem mniéj, jużcić zaraz w jednem miejscu gnój bardzo gnije, w drugiem znowu wysycha, gdzie bardzo zbity, tam pali się, więc się marnuje, bo na całem gnojowisku i w każdem miejscu jednako powinien dochodzić do swojéj pory.— Deszcz znów pada, to wszystka woda z dachów i z wyższego miejsca leci do gnojowiska, bo tam niżéj opłukuje gnój z podściołu i jednę część zostawi na spodzie gnojowiska, a drugą zabierze z sobą, i jak się pod gnojem nie może pomieścić, wypływa na bok i wychodzi na marność, a na gnojowisku zostaje prawie czysta słoma.— Jak też przyjdzie do wywózki, to zwierzchu gnojowiska idzie naprzód prawie sama słoma, i to w jednem miejscu spalona, zapleśniała, w drugiem sucha jakby dziś przyniesiona ze stodoły, a ze spodu samo prawie błoto. — Na polu więc kaj wypadnie pognój z samego wierzchu gnojowiska, niewiele co przybędzie żyzności, bo co ze słomiastego barłogu można się spodziewać?— Kaj zaś wypadnie wozić ze spodu z owem nikiéj błotem, to gnoju będzie bardzo szczupło, i jak miski barszczu nie osolisz ziarnkiem soli i zawsze barszcz będzie niesłony, nikiej pestka z wiśni, tak i pola tą trochą gnoju nie użyznisz i zawsze będzie jałowe. —Więc gnój z takiego gnojowiska nie da żadnego profitu, a rola jeżeli nie będzie się niszczyć, to pewnikiem nic jéj na żyzności przybywać nie będzie.

— Więc dlatego moi sąsiedzi że tak gnojowiska mało sobie ważycie, role wasze jak rodziły tak rodzą, nic się nie polepszają. — Dawniéj kiedy lepsze były urodzaje, to wam wystarczało przynajmniéj i nie znaliście, co to przednowek, ale dziś, kiedy wszędzie się nie rodzi, i wy zbieracie ino połowę tego, co dawniej, jużcić wystarczyć wam nie może, boć u każdego z was w chałupie gąb nie ubyło, ino może przybyło, i u każdego z was jeżeli nie więcéj, to pewno nie mniéj jedzą jak dawniéj.

— „Dobrze wszystko mówicie moj Janie“— odezwał się Bąbała, co słuchał z wielką pilnością—„ale powiedzcie mi, dla czegóż to gnój, tak marna rzecz, potrzebny jest roli, i bez niego nic się dobrze nie chce udać??

—„Dzisiaj wam moi ludzie, na to nic nie odrzeknę, bo widzicie, kiedy się stawia jaki budynek, toć się go nie zaczyna od dachu, ino od słupów i podwalin, tak samo też i w mojéj gadce, żebym wam chciał odrzeknąć na to, o co się mnie sąsiad Bąbała spytali, tobym wam od końca musiał wywieść gadkę, a wy byście jéj po próżnicy słuchali, bo tak trudnoby przyszło zrozumieć.— Więc zostawię to na popóźniéj, i każdéj niedzieli coś wam powiem nowego, tak, że pomału dojdziemy do wszystkiego.— Dziś zaś powiem wam, jak macie zakładać i utrzymywać gnojowiska, ale się nad tem bardzo rozwodzić nie będę, ino wam powiem, jak macie co robić, a późniéj dopiero przełożę wam dokumentnie, dlaczego macie tak robić, a nie inaczéj.

— Otóż zakładając gnojowisko, żeby wiatry na niem gnoju nie wysuszały, trzeba koniecznie między budynkami, coby go zasłaniały od wichury wykopać dół równy, dłuższy jak szerszy, na łokieć albo i więcej głęboki.— Jeżeli spodem jest glina, to dobrze, bo nie puści przez siebie gnojówki, jeżeli piasek, to trzeba dno koniecznie wyłożyć kamieniami, czyli wybrukować, a szpary pozalepiać gliną, boby piasek het ściągał do siebie z gnoju wilgoć.— Trzeba także pamiętać wokoło takiego gnojowiska albo wysypać ziemią, żeby wyżéj było, albo okopać dokoła, nikiej rowkiem. Bo jak przyjdą deszcze, albo z wiosny śniegi zaczną topnieć, to woda ze wszystkich stron tak leci, że ino szumi; jakby więc nie miała nijakiéj przeszkody, toby wszystka wwaliła się do gnojowiska, bo tam byłoby najniżéj, opłukałaby podściół z gnoju i potem poszła na marność, jak to wam już mówiłem.— Jeżeli zaś woda ze strony napotka wyższe miejsce, to się zatrzyma, jeżeli ro-

wek, to spłynie do niego i pójdzie sobie daléj w świat, a gnojowisku szkody nie zrobi.—Więc pamiętajta dać baczenie, żeby nigdy a nigdy woda z boku nie dochodziła do gnojowiska, bo jak nie będziecie na to baczyć, i woda raz, drugi podejdzie, to z gnoju takiego rychtyk tyla będziecie mieli profitu, co i z ziemniaka sadzeniaka w jesieni przy kopaniu; co to na oko jak ziemniak wygląda, a w środku pusto, i jużcić, ni dla człeka, ni dla bydlęcia z niego pożytku. Dlatego samego gnojowisko zawsze wypada odsunąć troszkę zdala od budynku, żeby między budynkiem, a gnojowiskiem można było wozem przejechać, a to dlatego, żeby z dachów w niego woda nie ciekła, a kto może, niech od południa obsadzi drzewami, żeby dawały cień, to słońce nie tak będzie palić.

—Ale choć człek wody z boku nie puści do gnojowiska, to równie téj, co z nieba pada z deszczem i śniegiem nie zatrzyma.— Jeżeli rok choćby nie suchy, ale tak średni, to jeszcze fracha, bo że tam czasami deszcz przepada, toć jeszcze gnojowi tak wielkiéj szkody nie zrobi.— Ale jeżeli mokry i więcéj deszczu jak pogody, to woda od góry pomału het! wsiąka ku dołowi gnojowiska, obmywa se galanto każde zdziebełko słomy podściołu z gnoju bydlęcego, nikiéj nasze kobiety, kiedy piorą szmaty u rzeki, i bez to u spodu gnojowiska zostaje błoto, a u wierzchu czysty barłog, jak to wam wprzódy mówiłem.— Więc bez to zamiast nawóz gnić, to się rozdziela na dwoje, i przy górze będzie sam czysty podściół, a u spodu sam gnój bydlęcy.— A czy jest taki gospodarz, coby wywoził w pole samę słomę, albo sam gnój, co bydlęta z siebie wydają?— Jużcić nie ma, bo każdy to wie, że taka wywózka nie wyszłaby na pożytek, ino stara się, żeby podściół z gnojem razem się przetrawiły, i dlatego ściele pod bydło, żeby na czem położyć się miało, i żeby słoma wszystek mokrz i gnój bydlęcy wciągnęła w siebie.

—Otóż, żeby deszcze takiego rozdzielenia w gnoju na gnojowisku nie robiły, potrzeba duchem starać się, ażeby taką zbyteczną wodę z gnojowiska, co się bez to zamieni w gnojówkę odciągnąć.— Dlatego w gnojowiskach dno jego powinno iść trocha spadzisto ku jednemu bokowi, i przy nim wykopuje się nikiejby studnia, daje się cembrzynę, i okrywa podziurawionemi dylami, żeby niemi zbyteczna woda z deszczów, co się przemieniła w gnojówkę, ściekała.— Jak się gnojówki takiéj dosyć nazbiera, a padnie na czas suchy, wtedy gnojówkę tę wyciąga się kubłem i rozlewa po całem gnojowisku, a bez to nietylko gnojowi z wierzchu dodaje się wilgoci, któréj zawsze mniéj jest jak u spodu, bo przy wierzchu, to i słonko i wiatr suszy, ale z gnojówki takiéj gnój bydlęcy chociaż tak rozrzedzony, zostaje się na podściole, i lepiej go gnoi, o co najbardziej powinno chodzić gospodarzowi.— Jeżeli zaś gnojówki będzie tyle, że jéj wylewać nie poradzicie, ino zawsze znajdzie się jéj coś w studni, to się nie frasujcie o to, bo w gospodarstwie, moi ludzie, i u mądrego gospodarza to nic na marność iść nie powinno, i ze wszystkiem tak się będzie umiał poszykować, że mu musi każda rzecz wyjść na pożytek.— Ale o tem kiedyindziéj wam się rozgadam, bo to długa gadka, jak również o podścielaniu pod bydło, o wyrzucaniu gnoju na gnojowisko, o zachowaniu się z niem na gnojowisku, o wywożeniu w pole, i o rozrzucaniu i przyorywaniu.

—Teraz zaś że macie wolny czas, bo to przede żniwy, to każdy z was niech se przyrządzi miejsce na gnojowiska, jak to wam mówiłem, a nieociągajcie się i nie żałujcie pracy, bo z początku to wszystko idzie trudno człowiekowi, a później jak się wprawi, to robi śpiewający.

—A kiedy wiem, że każdy z was powie, że w mojéj gadce mam prawdę za sobą, to zróbtaż wszyscy jak radzę, boć to wstydnoby było i dla mnie i dla was, że w rzeczy takiéj, co ino wyciąga trocha pracy i zakrzątania się, słowa moje z wiatremby poleciały.

—Bóg bowiem moi sąsiedzi, nie dał ludziom ani chleba już upieczonego, ani wiatraków lub młynów, ino dał żyto, wiatr, ogień i wodę, i dał rozum, żeby człek rozważał i penetrował.— Jak więc człowiek poszedł po rozum do głowy, zaraz zmiarkował, że z żyta może być chleb, wiatr albó woda mogą obracać kamienie, co mielą zboże na mąkę,— a ogień może chleb upiec.— Żyto więc człowiek zżął, wymłócił, wiatrem albo wodą wymlił na mąkę, a przy ogniu upiekł, i wszystkiego tego doszedł swoim rozumem.— Głupi człowiek, coby tego nie widział, jak się chleb robi, toby gryzł samo żyto, a zobaczywszy człeka, co je chleb, powiedziałby, że mu tak Pan Bóg dał, że mu tak wszystko ręką idzie, a tu choć Pan Bóg to dał, to równie człek rozumem wypenetrował, bo i pług

choć uprawia ziemię, a przecież trzeba do niego konie albo woły zaprządz, żeby pociągnęły, i człeka, coby tem wszystkiem kierował.

— Tak samo też i w gospodarstwie, Bóg dał rolę, gnój, słonko i deszcz a człowiekowi rozum, żeby umiał z tego wszystkiego korzystać, i dlatego to powiedziałem, żę w gospodarstwie trzeba się umieć z robotami do tego szykować, bo bez tego zawsze będzie wszystko, Bóg wie po jakiemu, ot tak tak, jak się uda. — Kto więc stara się w gospodarstwie, aby z rozumu, z tego wielkiego daru Bożego jak najwięcéj korzystać, i robi tak, jak mu kto mądrze poradzi, to takiemu wszystko pójdzie ręką, bo mu i Bóg dopomoże za to, że rozumu swego używa na dobre, i że po próżnicy nie marnuje tego, co mu Bóg dał w miłosierdziu swojem.

— Pracujcie więc i starajcie się robić tak, jak wam radzę, bo lenistwo i próżniactwo to największy grzech przed Bogiem, gdyż Bóg nic nie dając człowiekowi gotowego, chciał widać tego, żeby na wyżywienie swoje w pocie czoła pracował. — Kto więc pracuje, wypełnia nakaz Boski, kto próżnuje i jest leniwy, to jakby się buntował przeciw Bogu, jakby mówił w zuchwałości swojéj. — „choć Panie Boże kazałeś mi pracować, ale ja nie będę, ino wolę sobie mało robić, a i tak przy pomocy drugich ludzi z głodu nie umrę.“ — Lecz Bóg, moi ludzie! choć cierpliwy, ale sprawiedliwy, zuchwalstwa takiego nigdy nie przebaczy, i gdy pracowitym opiekuje się jak ojciec, o próżniaku zabacza, a bez opieki Boskiéj czy może być dobrze człowiekowi?

— Za długo moi ludzie! rozgadałem się dzisiaj, ale u starego co w sercu, to i w mowie, teraz uczęstuję was miodem, co go syciła moja kobieta.“

I przy tych słowach Janek obróciwszy się ku komorze zawołał:

— „Saluś! — a wynieśno nam choć ze dzbanek swego słodkiego napitku, bo radbym poczciwych moich sąsiadów uczęstować.“

Kiedy miód zaczerwienił się po szklankach, Janek podniósł szklankę w górę, i rzekł:

— „Daj wam Boże zdrowie moi sąsiedzi! gadki i porady nigdy dla was żałować nie będę, a wtedy dopiero umrę spokojnie, gdy mnie swoim znowu miodem z własnych uli uczęstujecie.“ — Daj wam Boże zdrowie.“

Całéj gadki Janka chłopiska słuchali z wielką ciekawością, najbardziej jednak Bąbała, bo tak się zamyślił, że choć muchy obsiadły mu całą czupryne, on ni razu po niéj nie klapnął się garścią.

— „Kumie“ — odezwał się Wojciech trącając Bąbałę, — „a dyć ognajcie muchy z głowy, bo was na piękne zjedzą.“

— „Bóg wam zapłać za przestrogę, ale mnie ta nie muchy w głowie, ino rozważam se Janka gadkę o gnojowisku, bo wiecie co? — To nie głupia rzecz, ja zaraz u siebie tak zrobię.“

— „Ba! co ma być głupia.“

I chłopiska pogwarzywszy to o tem, to o owem, wyruszyli wkrótce do domu, i każdy miał w głowie ino gnojowisko, i mądre słowa Janka.

Bóg widzi łzy pobożnych.

Słońce okazało się na jasnem niebie, ażeby oświecić całym blaskiem pierwszy dzień nowego roku. Odgłos dzwonu farnego kościoła rozległ się wokoło, a tłumy wiernych spieszyły na tó wezwanie ugiąć korne kolano przed swoim Stwórcą, i zanieść Mu w ofierze cierpienia i nadzieje swoje. — W jedném z porządniejszych mieszkań Starego Miasta, dwóch młodych ludzi przebudzonych przed chwilą odgłosem dzwonu, taką wszczęli rozmowę: „Wstawaj Karolu, chociaż nie pójdziemy dziś do biura, za to innego rodzaju praca nas czeka. Ileż to życzeń wysypać z ust trzeba, na ile zręcznych komplemencików się zdobyć, a ileż ja to będę musiał moralnych nauczek wysłuchać od moich krewnych i protektorów; dzięki Bogu, że dzień mamy pogodny, a przy tak lekkim mrozie usta nie zamarzną.“ „Ja nie myślę, odrzekł drugi, w mnogie odwiedziny się wdawać, oddawszy naprzód hołd wspólnemu nam Ojcu, pójdę powinszować moim przełożonym, i za parę godzin wrócę do domu. Nie mam w Warszawie ani stryjów, ani łaskawych kuzynek, którymbym potrzebował składać powinszowania, a zarazem dziękować za brzęczące kolendy, bo tetylko tak szczęśliwych jak ty, Grzesiu, spotykają.“ „Mój Karolu tyle otrzymałeś darów od natury, iż dasz sobie sam radę na świecie, zanadto cię kocham, żebym ci mógł czegokolwiek zazdrościć, a jednak przyznam ci się, że nie lubię, kiedy staniesz przy mnie, gdy

sobie przed lustrem czuprynę poprawiam; a cóż mówić o téj twojéj poważnej postaci, która mi zawsze stawa przed oczyma, gdy jakie dzieciństwo zrobię, i rumienić mi się każe. Szczególny bo z ciebie człowiek, w tak młodym wieku zdajesz się być wolnym od wszelkich namiętności, i nie wiem, czy to przypisać jakiéjś anielskiéj naturze i odmówić ci wszelkiéj zasługi, czy też nadzwyczajnéj mocy nad sobą.“ „Mój Grzesiu, nie róbże ze mnie świętego! wychwalasz we mnie przymioty, które nie zawracają jednak pięknych główek, jak twoje wady, do których z taką pokorą zawsze się przyznajesz; ile ty oceniasz moję powagę, tyle mi jest wartą twoja żywość obok szlachetnego serca. Ale kończno twoję tualetę, bo widzę że nasz stary Szymon aż się spocił, zwijając się koło ciebie. A niezapomnij zabrać z sobą twojéj wydętéj sakiewki.“— I niedługo młodzi ci ludzie zaleciwszy staremu lokajowi, iżby nie odchodził dopóki nie wrócą, zbiegli oba ze schodów i weszli do kościoła Śgo Jana.— W kaplicy po lewéj stronie przed cudownym obrazem Zbawiciela odprawiała się msza św. Między klęczącemi u stopni ołtarza, kobieta ubogo, lecz czysto odziana, zwróciła uwagę dwóch młodych przyjaciół. Z wlepionych w obraz Zbawiciela oczów łzy lały się strumieniem, i tyle było żarliwości w jéj modlitwie, a taki wyraz boleści w twarzy, iż niepodobna było patrzeć na nią bez wzruszenia. Po skończonéj mszy św. spłakana kobieta oddalała się zwolna z kościoła, a dwaj przyjaciele rzuciwszy na siebie spojrzenia, które wzajemnie zrozumieli, udali się za nią. Gdy weszła w rynek Starego Miasta, młodzi ludzie przystąpili do biednéj kobiety, i z wyrazem szczerego współczucia zapytali jéj, czyby nie mogli w czém ulżyć jéj niedoli? Widzieliśmy, mówił jeden z nich, jak gorąco modliłaś się moja pani, do Boga, a łzy twoje poruszyły do głębi serca nasze. „Moi panowie! odpowiedziała kobieta, widzę już Bożą w tém sprawę, opowiem wam więc w krótkości nieszczęścia moje. Przed kilku tygodniami umarł mi mąż; był on cieślą, i póki tylko był zdrów, nie zbywało nam na chlebie, gdyż znał dobrze swoje rzemiosło, przytém był trzeźwy i pracowity. Przyszła na niego choroba, któréj się długo bronił, prosiłam go, żeby nie chodził do roboty, ale on udawał przedemną, że zdrowszy, wysilał się, żeby mnie i dzieciom nie zbywało na niczem, tymczasem gorączka męczyła go coraz bardziéj, stracił apetyt, i musiał nareszcie położyć się w łóżko. Widziałam, jak codziennie sił mu ubywało, jak nikł mi w oczach. Robiłam, co mogłam, żeby go ratować, sprowadziłam doktora; dawał mu lekarstwa, ale nie obiecywał życia. Wydałam mały zapasik, którýśmy zawsze od przypadku chowali, posprzedawałam niektóre sprzęty, zapożyczyłam się nawet, żeby tylko miał jaką taką wygodę mój chory, przytém musiałam czworo drobnych dzieci żywić; prałam i szyłam po całych nocach, aż wreszcie zaniemogłam sama. Moja najstarsza ośmioletnia dziewczyna nie mogła nam dać żadnéj rady, ale zlitowała się nad nami sąsiadka, co przez ścianę z nami mieszkała. Poczciwa i tak biedna jak ja teraz wdowa, pracowała na nas i doglądała jak mogła. Po kilku dniach zwlekłam się przecie z łóżka, i zamknęłam oczy mojemu jedynemu na świecie przyjacielowi. Żeby go pochować ile tyle porządnie, sprzedałam resztę lepszych gałganów i sprzętów; kiedy mi go już ziemią przysypali, padłam bez zmysłów, ale ocucili mnie dobrzy ludzie, i pokazali mi moje sieroty. Spojrzałam na nie, zebrałam sił ostatek, i nazajutrz wzięłam się do pracy. Bóg wrócił mi zdrowie; odtąd zarabiam tyle, iż mogę siebie i dzieci jako tako wyżywić, ale na komorne nic jeszcze nie zebrałam, a mój gospodarz grozi, iż za kilka dni wyrzuci mnie ze stancyi, bo, jak mówi, niewiele mi już sprzętów pozostało, i im daléj, tem mniéj będzie mnie miał na czém patrzeć. O! Boże, cóż pocznę z dziećmi, żeby mi nie pomarzły? Tak sobie dziś myślałam, i nareszcie przyszło mi do głowy, że trzeba pójść do majstra, u którego nieboszczyk mąż mój kilka lat robił, i prosić go o wsparcie; ale ciężko to, ciężko pierwszy raz w życiu rękę wyciągać. Pobiegłam więc naprzód do kościoła i modliłam się gorąco, żeby Bóg pozwolił mi znaleść miłosierdzie u ludzi.

„I wysłuchał Bóg prośby tak poczciwéj żony i matki, i On to przez nas zsyła ci to wsparcie.“ To mówiąc, jeden z przyjaciół wsunął w rękę biednéj kobiety parę dukatów w złocie, drugi podobną sumkę dołożył, i odbiegli z największym pośpiechem do swojego mieszkania, o kilkadziesiąt tylko kroków ztamtąd odległego, zostawiwszy biedną kobietę osłupiałą, i jakby przykutą do miejsca, na którem z niemi rozmawiała. Widzieli potem z okna, jak poczciwa kobieta opamiętawszy się, oglądała się na wszystkie

strony, szukając ich oczyma, potem jak biegała po całym rynku, i zaglądała w ulice z nim stykające się, w końcu straciwszy widać nadzieję odszukania ich, zwróciła się nazad ku kościołowi.

Dwaj przyjaciele po krótkiem milczeniu, uściskali się serdecznie, a poważniejszy z nich tak się odezwał: Obyśmy, mój Grzesiu, w tym rozpoczynającym się roku nie jeden jeszcze dzień mieli tak szczęśliwy i miły, jak dzisiejszy!

Rzeźniczka.

—

—„Proszę pani o funcik cielęciny,— rzekła młoda dziewczyna, wchodząc do jatki.— Co chcesz, funcik cielęciny? to nie w tych czasach przedają na funciki, odrzekła rzeźniczka.— Ależ pani—ja mam matkę chorą.“ — Masz panna kawałek za dwa złote.— Kiedy ja więcéj nie mam nad dwadzieścia groszy, i te zaledwie zarobiłam na inne potrzeby; doktór kazał chorą posilić rosołkiem, i ona tak czeka na niego; odstąp pani funcik mięsa.— „Jak postawię dla ubogich jatki, wtenczas dostaniesz panna mięsa na rozmaite ceny, a teraz nie nudź mię dłużéj.— Odeszła dziewczynka zalana łzami, myśląc ciągle, jakby choréj wyperswadować oczekiwany rosół, i biegła prędko do domu.— Wchodzi na schody i zaledwie otworzyła drzwi, aż usłyszała kogoś idącego za sobą;— obejrzała się, i z podziwieniem zobaczyła mężczyznę porządnie ubranego z koszykiem w ręku, w którym leżał spory kawał cielęciny.—„Panno! odezwał się nieznajomy. Rzeźniczka, u któréj panna byłaś po mięso, nie dała ci jednego funta, bo chciała ci zrobić niespodziankę, przysyłając więcéj niż żądałaś.“—Niechże Jéj Bóg wynagrodzi! a tymczasem pójdę jéj podziękować. I z sercem przepełnionem wdzięcznością, wróciła do téj saméj jatki“.— Rzeźniczka słuchając podziękowań, nie mogła zrozumieć całéj mowy dziewczynki, aż wejście dwóch osób wyjaśniło wszystko.— Weszła pani bogato ubrana, a za nią ten sam kucharz, który przyniósł mięso ubogiéj dziewczynce, i odezwała się w te słowa: Kucharz mój zawstydził bogatą rzeźniczkę, kupując za własne pieniądze mięso dla biednéj choréj, a nawet tyle był szlachetny, że nie chciał przyznać się do czynu, tylko przypadek mi go wykrył.— Ale odtąd nie będziemy brali mięsa, u pani, tylko w innéj jatce. — Zmieszała się rzeźniczka, i zmartwiła, tracąc dom zamożny, z którego brano mięso przez lat kilkanaście. Wypadek ten powinien posłużyć za naukę innym, którzy trudniąc się tym handlem, nieszczędzą słów ubliżających dla uboższych, niemogących kupować więcéj, jak po funcie mięsa.— Nie pomną oni, że jaką miarką mierzą, taką im będzie odmierzono.

BAJKI.

OJCIEC I SYN.

—

Oleś, swobodne pachole
W lecie poszedł z ojcem w polę;
Wtem ich na drodze napadła ulewa.
Syn naokoło upatrywał drzewa,
A stał w pobliżu właśnie dąb wysoki,
Już biedz do niego zamierzył.
Stój!— krzyknął ojciec. Stanął.— Błysk rozdarł obłoki,
I w ten dąb piorun uderzył.
Ojcze!— raz drugi winienem ci życie,
Przerażone rzekło dziecię.
„O! tak, mój Olesiu drogi,
Odrzekł ojciec— wyznać trzeba,
Żeś ocalał łaską nieba,
I tem, żeś mojéj usłuchał przestrogi.

PIJAK I WINO.

—

Pafnucy zachorował, że pił dużo wina,
Gdy trunki, leżąc w łóżku, łaje i przeklina,
Wino rzekło:—„Żeś chory, jam niewinno całkiem,
Czemuś tyle lał w siebie, gdyś nie jest antałkiem?“

W druk. J. Unger. Wolno drukować. Warszawa d. 21 Czerw. (3Lip.) 1856 r.— P. o. starsz. cenz., rad. hon. *A Broniewski*.